



NICHOLAS  
SPARKS

WE DWOJE

## ROZDZIAŁ 1

# A z dzieckiem to już troje

– O ja cię! – Oto, co powiedziałem, kiedy Vivian wyszła z łazienki i pokazała mi test ciążowy. – To cudownie!

Jednak to, co czułem w tamtej chwili, było bardziej zbliżone do... Poważnie? Już?

Przed wszystkim byłem zaskoczony i przerażony. Byliśmy małżeństwem nieco ponad rok, a ona zdążyła oświadczyć, że kiedy zdecydujemy się na dziecko, przez kilka pierwszych lat jego życia zostanie w domu. Zawsze przytakiwałem, gdy to mówiła – ja również tego chciałem – ale w tamtej chwili dotarło do mnie, że nasze życie bezdzietnej pary z dwiema pensjami wkrótce dobiegnie końca. Co więcej, nie byłem pewien, czy jestem gotowy na to, by zostać ojcem, ale co mogłem zrobić? Przecież mnie nie oszukała, nie ukrywała, że chce mieć dziecko, i poinformowała mnie, kiedy przestała brać pigułki. Oczywiście ja też chciałem mieć dzieci, ale odstawiła antykoncepcję zaledwie trzy tygodnie temu. Pamiętam, jak pomyślałem wtedy, że minie co najmniej kilka miesięcy, zanim jej ciało przyzwyczai się do nowej sytuacji. Z tego, co wiedziałem, mogła mieć problemy z zajściem w ciążę, a to oznaczało, że równie dobrze może nawet minąć rok lub dwa lata.

Ale nie w przypadku mojej Vivian. Jej ciało przystosowało się od razu. Moja Vivian była płodna.

Objąłem ją i przyjrzałem się jej z uwagą, żeby zobaczyć, czy już promie-

*nieje. Ale na to było jeszcze zbyt wcześnie, prawda? Zresztą, o co chodzi z tym całym promienieniem? To jeszcze jeden sposób, żeby powiedzieć komuś, że wygląda zmysłowo i ponętnie. Jak zmieni się nasze życie? I w jakim stopniu?*

*Trzymałem żonę w ramionach, w mojej głowie kłębiły się dziesiątki pytań, a ja, Russell Green, nie znałem odpowiedzi na żadne z nich.*

\*

Kilka miesięcy później nadszedł wielki DZIEŃ, choć muszę przyznać, że niewiele z niego pamiętam.

Z perspektywy czasu myślę, że powinienem był zapisywać wszystko, gdy miałem to na świeżo w pamięci. Dzień taki jak TEN powinno się zapamiętać w najdrobniejszych szczegółach – nie jako ciąg niewyraźnych migawek. Jedynym powodem, dla którego pamiętam to, co pamiętam, jest Vivian. Mam wrażenie, że każdy szczegół wyrył się jej w pamięci, ale w końcu to ona rodziła, a ból ma to do siebie, że potrafi wyostrzyć zmysły. Tak przynajmniej mówią.

Wiem tylko, że czasami, kiedy wspominamy tamten dzień, nasze relacje bywają rozbieżne. Ja, na przykład, jestem zdania, że zważywszy na okoliczności, moje poczynania były jak najbardziej zrozumiałe, podczas gdy Vivian twierdzi, że byłem samolubny, albo mówi wprost, że zachowywałem się jak kompletny idiota. Kiedy opowiadała tę historię przyjacielom – a robiła to wielokrotnie – ludzie śmiali się albo kręcili głowami, patrząc na nią ze współczuciem.

Jeśli mam być szczery, nie uważam, że bym zachowywał się jak egoista czy kompletny dureń; w końcu było to nasze pierwsze dziecko i kiedy Vivian zaczęła rodzić, żadne z nas nie wiedziało, czego należy się spodziewać. Bo czy ktokolwiek może być na to gotowy? Powiedziano mi, że poród jest nieprzewidywalny; w czasie ciąży Vivian niejednokrotnie przypominała mi, że od pierwszych skurczów do narodzin mogą minąć nawet dwadzieścia cztery godziny – zwłaszcza przy pierwszym dziecku – a dwunastogodzinne porody nie są niczym niezwykłym. Jak większość przyszłych ojców uważałem żonę za eksperta i wierzyłem jej na

słowo. W końcu to ona czytała wszystkie te książki.

Pragnę zauważyć, że tamtego poranka nie byłem wcale taki beznadziejny. Niezwykle poważnie podszedłem do swoich obowiązków. Rzeczy Vivian i dziecka spakowałem do toreb i kilkakrotnie sprawdziłem ich zawartość. Aparat fotograficzny i kamera były naładowane i gotowe do działania, a pokój dziecięcy wyposażony we wszystko, czego maleństwo będzie potrzebować przez najbliższy miesiąc. Znałem najkrótszą drogę do szpitala i miałem w głowie trasy alternatywne, na wypadek gdyby na autostradzie doszło do wypadku. Wiedziałem też, że niebawem zacznę się poród; w ciągu ostatnich dni było kilka fałszywych alarmów, ale nawet ja miałem świadomość, że odliczanie się rozpoczęło.

Innymi słowy, nie byłem zaskoczony, gdy żona obudziła mnie o wpół do piątej szesnastego października 2009 roku, oświadczając, że ma skurcze co pięć minut i najwyższy czas jechać do szpitala. Wierzyłem jej; znała różnicę między skurczami Braxtona-Hicksa a prawdziwymi skurczami i choć przygotowywałem się na tę chwilę, nie przyszło mi do głowy, żeby w pierwszej kolejności ubrać się i wpakować wszystko do samochodu; prawdę mówiąc, w tamtym momencie w ogóle nie myślałem o żonie i dziecku, które lada chwila przyjdzie na świat. Myślałem raczej: „Dziś jest wielki DZIEŃ i ludzie będą robili mnóstwo zdjęć. Inni ludzie będą gapić się na te zdjęcia bez końca i – zakładając, że zachowają się one dla potomności – powinienem skoczyć pod prysznic, bo moje włosy wyglądają, jakbym spędził noc w tunelu aerodynamicznym”.

Nie chodzi o to, że jestem próżny; najzwyczajniej w świecie byłem przekonany, że mam mnóstwo czasu, więc powiedziałem Vivian, że będę gotowy za kilka minut. Zwykle nie siedzę długo pod prysznicem – nie więcej niż dziesięć minut, łącznie z goleniem – ale ledwie zdążyłem nałożyć krem do golenia, wydało mi się, że z salonu dobiegł krzyk. Nadstawiłem uszu, lecz nic nie słyszałem, mimo to postanowiłem się pospieszyć. Kiedy się spłukiwałem, usłyszałem, jak Vivian

krzyczy, choć – o dziwo – miałem wrażenie, że krzyczy „o mnie”, a nie „na mnie”. Z ręcznikiem na biodrach, ociekając wodą, wyszedłem na ciemny korytarz. Bóg mi świadkiem, że byłem pod prysznicem niecałe sześć minut.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Vivian kłęczy na podłodze i drze się do telefonu, że jestem POD CHOLERNYM PRYSZNICEM, i pyta CO, U DIABŁA, TEN IDIOTA SOBIE WYOBRAŻA?!? Tak przy okazji, słowo „idiota” było najdelikatniejszym określeniem, jakiego użyła wtedy pod moim adresem; jej język był dużo bardziej kwiecisty. Nie wiedziałem wówczas, że odległość między skurczami zmniejszyła się z pięciu minut do dwóch, a moja żona jest w trakcie porodu pośladowego. Poród pośladowy jest wyjątkowo bolesny, tak więc nagle z gardła Vivian dobył się wrzask tak potężny, że stał się osobnym, żywym bytem, który być może wciąż unosi się nad naszą dzielnicą w Charlotte, w Karolinie Północnej, skądinąd niezwykle spokojnym miejscem.

Widząc, co się dzieje, wrzuciłem kolejny bieg, narzuciłem na siebie, co miałem pod ręką, i zacząłem pakować rzeczy do samochodu. Pomogłem Vivian usiąść na fotelu pasażera i słowa nie powiedziałem, gdy wbijała mi paznokcie w przedramię. Chwilę później siedziałem za kółkiem i w drodze do szpitala dzwoniłem do jej ginekologa, który obiecał, że spotka się z nami na miejscu.

Kiedy dotarliśmy do szpitala, skurcze nadal pojawiały się w dwuminutowych odstępach, ale cierpienie Vivian było tak wielkie, że od razu wzięto ją na porodówkę. Trzymałem ją za rękę i oddychałem razem z nią – podczas gdy ona obrzucała mnie kolejnymi wyzwiskami i mówiła mi, gdzie mogę sobie wsadzić to swoje cholerne oddychanie – dopóki anestezjolog nie zrobił jej znieczulenia zewnątrzoponowego. Na początku ciąży Vivian zastanawiała się, czy z niego korzystać, w końcu jednak uznała, że tak, co w tej sytuacji okazało się prawdziwym błogosławieństwem. Kiedy znieczulenie zaczęło działać, ból ustąpił, a moja żona uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy, odkąd wczesnym ran-

kiem zerwała mnie z łóżka. Jej ginekolog – mężczyzna po sześćdziesiątce ze starannie przystrzyżonymi, siwymi włosami i miłą twarzą – zaglądał na salę co dwadzieścia, trzydzieści minut, żeby zobaczyć, jak duże jest rozwarcie, ja tymczasem zadzwoniłem do naszych rodziców i mojej siostry.

W końcu nadszedł czas. Wezwano pielęgniarki, które ze stoickim spokojem przygotowywały sprzęt. I nagle lekarz kazał mojej żonie przeć.

Vivian parła przez trzy kolejne skurcze; przy trzecim doktor zaczął wykręcać nadgarstki, jak magik wyciągający królika z kapelusza, i zanim się zorientowałem, zostałem ojcem.

Tak po prostu.

Lekarz zbadał naszą córeczkę i chociaż stwierdził u niej lekką anemię, miała po dziesięć paluszków u rąk i nóg, zdrowe serce i sądząc po tym, jak płakała – płuca jak miechy. Zapytałem doktora o anemię – powiedział, że nie należy się tym martwić – i po tym, jak zakropił małej oczy, nasza córeczka została umyta, opatulona i podana mojej żonie.

Było dokładnie tak, jak się tego spodziewałem: ludzie przez cały dzień robili zdjęcia, ale, o dziwo, kiedy oglądali je później, zdawali się nie zauważać mojej obecności.

\*

Mówi się, że wszystkie noworodki wyglądają jak Winston Churchill albo Mahatma Gandhi, ale ponieważ z powodu anemii skóra mojej córeczki miała dziwny, szarawy odcień, pomyślałem, że wygląda jak Yoda, oczywiście z wyjątkiem uszu. Uroczy Yoda, zapierający dech w piersi, tak cudowny, że kiedy chwyciła mnie za palec, serce o mała nie wyskoczyło mi z piersi. Gdy kilka minut później przyjechali moi rodzice, w swoim zdenerwowaniu i ekscytacji wyszedłem do nich na korytarz i wykrztusiłem pierwsze, co przyszło mi do głowy.

„Mamy szare dziecko!”

Matka spojrzała na mnie jak na szaleńca, a ojciec zaczął dłubać pal-

cem w uchu jak ktoś, kto zastanawia się, czy woskowina nie przytępiła mu słuchu. Ignorując moje słowa, weszli na salę i zobaczyli spokojną Vivian z naszą córeczką w ramionach. Podążyłem za ich wzrokiem i pomyślałem, że London jest najcenniejszą istotą w dziejach świata. I choć jestem przekonany, że wszyscy świeżo upieczeni ojcowie myślą podobnie, faktem jest, że tylko jedno dziecko może być najcenniejszą istotą w dziejach świata, tak więc część mnie dziwiła się, dlaczego ludzie, którzy tego dnia byli w szpitalu, nie zatrzymywali się przy naszej sali, żeby zachwycać się moją córeczką.

Mama podeszła do łóżka i wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć.

– Wybraliście już imię? – zapytała.

– London – odparła moja żona, całą uwagę skupiając na naszym dziecku. – Damy jej na imię London.

\*

W końcu moi rodzice pojechali, żeby wrócić tego samego dnia po południu. W międzyczasie w szpitalu pojawili się teściowie. Przylecieli z Alexandrii w stanie Virginia, gdzie dorastała Vivian, i podczas gdy moja żona była cała w skowronkach, ja natychmiast poczułem, że w pokoju robi się nerwowo. Wiedziałem, że ich zdaniem Vivian popełniła błąd, kiedy zgodziła się za mnie wyjść... Zresztą kto wie, czy nie mieli racji? Nie przepadali też za moimi rodzicami i uczucie to było odwzajemnione. Choć cała czwórka stwarzała pozory wzajemnej serdeczności, było oczywiste, że wolą unikać swojego towarzystwa.

Moja starsza siostra Marge i jej partnerka Liz przyniosły prezenty. Marge i Liz były razem dłużej niż Vivian i ja – przeszło pięć lat – i nie tylko wiedziałem, że Liz jest idealną partnerką dla mojej siostry, ale też miałem świadomość, że Marge jest najlepszą starszą siostrą, jaką można sobie wymarzyć. Ponieważ nasi rodzice pracowali – tata był hydraulikiem, a mama aż do emerytury, na którą przeszła kilka lat temu, była recepcjonistką w gabinecie dentystrycznym – Marge po-

niekąd zastępowała mi ich i była moją powiernicą, dzięki której przetrwałem burzliwy okres dojrzewania. Obie z Liz również nie lubiły moich teściów i niechęć ta była o tyle większa, że rodzice Vivian nie zgodzili się, żeby Marge i Liz na naszym weselu siedziały razem przy głównym stole. W rezultacie Marge była na imprezie, a Liz nie – Marge uparła się, że włoży smoking, nie sukienkę. Zachowanie rodziców Vivian obie odebrały jako zniewagę, której żadna z nich nie była w stanie wybaczyć, zwłaszcza że inne – heteroseksualne – pary dostąpiły tego przywileju. Szczerze, nie dziwię się, że Marge i Liz się zdenerwowały, bo sam byłem wkurzony. Dogadują się lepiej niż większość małżeństw, które znam.

Podczas gdy kolejni goście przychodzili i wychodzili, ja resztę dnia spędziłem w pokoju z żoną, siedząc w bujanym fotelu przy oknie albo obok niej na łóżku, gdzie raz za razem szepotaliśmy sobie w zdumieniu, że mamy córeczkę. Patrzyłem na swoje dwie kobiety ze świadomością, że moje miejsce jest przy nich i że już zawsze będziemy ze sobą związani. Było to oszałamiające uczucie – jak wszystko tego dnia – i przyłapałem się na tym, że zastanawiam się, jak będzie wyglądała London jako nastolatka, o czym będzie marzyła i jak pokieruje swoim życiem. Gdy tylko zaczynała płakać, Vivian przystawiała ją do piersi, a ja byłem świadkiem kolejnego cudu.

Skąd London wie, jak to robić? Pytałem siebie w duchu. Skąd ona, na Boga, wie?

\*

Mam jeszcze jedno wspomnienie z tamtego dnia i należy ono wyłącznie do mnie.

Zdarzyło się to tamtej pierwszej nocy w szpitalu, długo po tym, jak wyszli ostatni goście. Vivian spała, a ja drzemałem w bujanym fotelu, kiedy usłyszałem, że nasza córeczka zaczyna marudzić. Nigdy dotąd nie trzymałem noworodka, ale wziąłem ją na ręce i przytuliłem do sie-



bie. Myślałem, że będę musiał obudzić Vivian, ale, o dziwo, London się uspokoiła. Wróciłem na fotel i przez następne dwadzieścia minut mogłem jedynie zachwycać się uczuciami, które we mnie budziła. Wiedziałem już, że ją uwielbiam, ale – co dziwniejsze – nie wyobrażałem sobie życia bez niej. Pamiętam, że szepnąłem jej do uszka, że jestem jej tatą i że już zawsze będę przy niej, a ona jakby zrozumiała, co mówię, bo zaczęła się wiercić, zrobiła kupkę i rozplakała się. Koniec końców, musiałem oddać ją Vivian.

## ROZDZIAŁ 2

### Na początku

– Powiedziałam im dziś – oświadczyła Vivian.

Vivian ubrana w pizamę wślizgnęła się do łóżka; w końcu byliśmy zupełnie sami. Była połowa grudnia i London spała od niespełna godziny; w wieku ośmiu tygodni nadal przespiała ciągiem trzy do czterech godzin. Vivian nie narzekała, ale była stale zmęczona. Piękna, lecz zmęczona.

– Komu co powiedziałaś? – zapytałem.

– Robowi – odparła, mając na myśli swojego szefa w firmie medialnej, w której pracowała. – Oficjalnie dałam mu znać, że po urlopie macierzyńskim nie wrócę do pracy.

– O! – rzuciłem i poczułem taki sam nerwowy skurcz żołądka jak wtedy, gdy pokazała mi wynik testu ciążowego. Vivian zarabiała prawie tyle co ja i nie byłem pewien, czy bez jej pieniędzy będzie stać nas na życie na dotychczasowym poziomie.

– Zapewnił mnie, że drzwi będą otwarte, gdybym jednak zmieniła zdanie – dodała. – Ale powiedziałam mu, że London nie będzie wychowywana przez obcych ludzi. Bo z takim podejściem, po co w ogóle decydować się na dziecko?

– Mnie nie musisz przekonywać – zazartowałem, starając się ukryć uczucia. – Jestem po twojej stronie. – To znaczy część mnie była. – Ale wiesz, że to

oznacza, że nie będziemy wychodzić na kolacje tak często jak do tej pory i będziemy musieli ograniczyć wydatki.

– Wiem.

– I nie będziesz tęskniła za częstymi zakupami?

– Mówisz, jakbym trwonila pieniądze. Nigdy tego nie robię.

Wyciągi z karty kredytowej mówiły czasem coś zupełnie innego, podobnie jak jej szafa, która pękała w szwach od ubrań, butów i torebek. Jednak usłyszałem w jej głosie rozdrażnienie, a kłótnia z Vivian była ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę. Zamiast tego odwróciłem się w jej stronę i myśląc o czymś zupełnie innym, przyciągnąłem ją do siebie. Trąciłem nosem jej policzek i pocałowałem ją w szyję.

– Teraz? – zapytała.

– Dawno tego nie robiliśmy.

– I moje biedactwo ma wrażenie, że zaraz eksploduje, tak?

– Szczerze? Wolę nie ryzykować.

Roześmiała się. Zacząłem rozpinać górę jej piżamy, gdy usłyszeliśmy jakiś dźwięk w elektronicznej niani. Zamarliśmy jak na zawołanie.

Nic.

Nadal nic.

I kiedy już myślałem, że to fałszywy alarm, i wypuściłem powietrze – nie wiedziałem nawet, że na chwilę wstrzymałem oddech – w głośniku rozległ się płacz. Z jękiem przewróciłem się na plecy, a Vivian wymknęła się z łóżka. Kiedy London w końcu się uspokoiła – czyli dobre pół godziny później – Vivian nie była w nastroju na kolejne podejście.

Rano mieliśmy nieco więcej szczęścia. Na tyle, że ochoczo zgodziłem się zając London, żeby Vivian mogła się jeszcze zdrzemnąć. Wyglądało jednak na to, że mała była równie zmęczona, jak jej mama, bo gdy dopijałem drugą kawę, w głośniku elektronicznej niani usłyszałem nie płacz, ale jakieś inne dźwięki.

Zawieszona nad łóżeczkiem karuzela kręciła się dookoła, a London była radosna i pełna energii; jej nóżki pracowały niczym tłoki. Widząc to, uśmiechnąłem się, a ona odpowiedziała tym samym.

*Nie był to grymas ani tik. Znałem je, wiedziałem, jak wyglądają, i wprost nie mogłem uwierzyć własnym oczom. To był prawdziwy uśmiech, cudowny jak wschód słońca, a kiedy nagle się roześmiała, początek dnia stał się tysiąc razy lepszy.*

\*

Nie jestem mądrym człowiekiem.

Ale nie jestem też mało inteligentny. Jednak mądrość to coś więcej niż bycie inteligentnym, ponieważ obejmuje zrozumienie, empatię, doświadczenie, wewnętrzny spokój i intuicję, a teraz wiem, że brakowało mi wielu spośród tych cech.

Oto, czego jeszcze się nauczyłem: wiek nie gwarantuje mądrości, tak jak nie gwarantuje inteligencji. Wiem, że nie jest to popularne przekonanie – czyż nie uważamy starszych ludzi za mądrych, po części dlatego, że mają siwe włosy i zmarszczki? Ostatnio jednak doszedłem do wniosku, że niektórzy rodzą się z naturalną skłonnością do bycia mądrymi, a inni nie. Są również tacy, u których mądrość objawia się już w młodym wieku.

Na przykład moja siostra Marge. Jest mądra, a przecież tylko pięć lat starsza ode mnie. Liz też. Jest młodsza od Marge, mimo to jej komentarze są głębokie i empatyczne. Po rozmowie z nią zdarza mi się rozmyślać o tym, co powiedziała. Moi rodzice również są mądrzy; ostatnio często o tym myślę, ponieważ dotarło do mnie, że choć mądrość jest u nas rodzinna, pod tym względem jestem czarną owcą.

Gdybym był mądry, latem 2007 roku posłuchałbym Marge, która wioząc mnie na cmentarz, na którym pochowani byli nasi dziadkowie, zapytała, czy jestem absolutnie pewny, że chcę poślubić Vivian.

Gdybym był mądry, posłuchałbym ojca, kiedy spytał, czy aby na pewno chcę w wieku trzydziestu pięciu lat założyć własną agencję reklamową.

Gdybym był mądry, posłuchałbym mamy, kiedy radziła mi, żebym spędzał z London każdą wolną chwilę, bo dzieci tak szybko dorastają, a straconych lat nigdy nie da się nadrobić.

Ale jak mówiłem, nie jestem mądry i z tego powodu do mojego życia wdarł się chaos. Nawet teraz zastanawiam się, czy kiedykolwiek się pozbieram.

\*

Gdy człowiek próbuje doszukać się sensu w bezsensownej historii, od czego ma zacząć? Od początku? Tylko gdzie jest początek?

Kto to wie?

Zacznijmy więc od tego. Kiedy byłem dzieckiem, dorastałem w przekonaniu, że w wieku osiemnastu lat będę czuł się dorosły. I miałem rację. Jako osiemnastolatek rozpocząłem planowanie przyszłości. Moja rodzina żyła od pierwszego do pierwszego, a ja nie miałem zamiaru powielać tego schematu. Zacząłem więc marzyć o własnym interesie, chciałem być panem samego siebie, choć nie miałem pojęcia, co mógłbym robić. Założywszy, że college pomoże mi sprecyzować owe plany, poszedłem na Uniwersytet Stanowy Karoliny Północnej, ale im dłużej tam studiowałem, tym czułem się młodszy. W dniu odebrania dyplomu nie mogłem się pozbyć uczucia, że jestem tym samym chłopakiem, którym byłem w liceum.

Tak więc college nie nakierował mnie na właściwe tory. Miałem mało doświadczenia i jeszcze mniej pieniędzy, zdecydowałem zatem, że plany mogą zaczekać, i zacząłem pracę w agencji reklamowej u niejakiego Jessego Petersa. Nosilem garnitury, harowałem jak wół, a i tak czułem się młodszy, niż byłem w rzeczywistości. W weekendy chodziłem do tych samych barów co w college'u i wyobrażałem sobie, że mógłbym zacząć od nowa jako pierwszoz rocznik, bez problemu dopasowując się do wybranego bractwa. W ciągu następnych ośmiu lat w moim życiu zachodziły kolejne zmiany; ożeniłem się, kupiłem dom i zacząłem jeździć samochodem z napędem hybrydowym, ale nawet wtedy nie zawsze czułem się jak dorosła wersja samego siebie. Peters zajął miejsce moich rodziców – tak jak oni mówił mi, co robić, a czego nie – przez co miałem wrażenie, że wciąż udaję. Czasami, siedząc przy

biurku, próbowałem przekonać samego siebie: Dobrze, to informacja oficjalna. Jestem dorosły.

Świadomość ta uderzyła we mnie z pełną mocą, gdy na świat przyszła London, a Vivian rzuciła pracę. Nie miałem jeszcze trzydziestki, a presja, którą czułem, żeby w ciągu najbliższych lat utrzymywać rodzinę, wymagała poświęcenia, którego się nie spodziewałem, więc jeśli to nie jest wyznacznikiem dorosłości, to nie wiem, co nim jest. Po powrocie z agencji – kiedy udało mi się dotrzeć do domu o rozsądnej porze – już w drzwiach słyszałem, jak London woła: „Tatuś!”, i natychmiast żalowałem, że nie spędzam z nią więcej czasu. Zaraz potem podbiegała do mnie, a gdy brałem ją na ręce, obejmowała mnie za szyję i nagle każdy wysiłek, każde wyrzeczenie nabierały sensu, a wszystko przez jedną małą dziewczynkę.

W całej tej gonitwie nietrudno było przekonać samego siebie, że wszystko, co ważne – żona, córeczka, praca i rodzina – jest w jak najlepszym porządku, nawet jeśli sam sobie nie mogłem być szefem. W rzadkich chwilach, kiedy myślałem o przyszłości, wyobrażałem sobie życie zbliżone do tego, które wiodłem teraz, i wcale mi to nie przeszkadzało. Z pozoru wszystko szło gładko, ale powinienem był potraktować to jak ostrzeżenie. Uwierzcie mi, naprawdę nie miałem bladego pojęcia, że za kilka lat będę czuł się po przebudzeniu jak jeden z imigrantów na Ellis Island, który przyплыł do Ameryki z tym, co miał na grzbiecie, nie znał języka i zastanawiał się: Co ja teraz zrobię?

Kiedy dokładnie wszystko zaczęło się walić? Gdyby zapytać Marge, odpowiedź byłaby prosta: „Kiedy poznałeś Vivian”. Słyszałem to od niej nieraz. Oczywiście, jak to Marge, natychmiast musiała sprostować. „Odszczekuję to”, mówiła. „Zaczęło się dużo wcześniej, gdy byłeś w podstawówce i powiesiłeś na ścianie tamten plakat dziewczyny w skąpym bikini i z wielkimi balonami. Tak przy okazji, zawsze go lubiłam, ale moim zdaniem zrył ci psychę”. Chwilę później, po dalszym zastanowieniu, kręciła głową i ciągnęła: „Właściwie, jakby się dobrze zastanowić, zawsze byłeś rąbnięty, a skoro mówi ci to osoba, która uchodzi za najbardziej pokręco-

ną w rodzinie, to o czymś świadczy. Może twój problem polega na tym, że dla własnego dobra zawsze jesteś zbyt miły”.

I o to chodzi. Kiedy człowiek zaczyna analizować, co poszło nie tak – albo raczej: gdzie sam popełnił błąd – przypomina to obieranie cebuli. Pod jedną warstwą zawsze kryje się druga, na światło dzienne wychodzi kolejne wspomnienie albo kolejny błąd z przeszłości, przez co, szukając prawdy, cofamy się coraz dalej w czasie. Ja dotarłem do momentu, w którym nie szukam już odpowiedzi: w tej chwili liczy się tylko to, by w przyszłości nie popełnić tych samych błędów.

\*

Żeby to zrozumieć, należy zrozumieć mnie. Co – na marginesie – wcale nie jest takie proste. Mam ponad trzydzieści trzy lata i przez połowę tego czasu nie rozumiałem sam siebie. Pozwólcie więc, że zacznę od tego: wraz z wiekiem doszedłem do przekonania, że na świecie są dwa typy mężczyzn. Ci, którzy się żenią, i kawalerowie. Typ małżonka to koleś oceniający każdą dziewczynę, z którą umawia się na randki, żeby przekonać się, czy przypadkiem nie jest ona Tą Jedyną. Dlatego kobiety po trzydziestce i czterdziestce często mówią rzeczy typu: „Wszyscy fajni faceci są zajęci”. Głosząc takie teorie, mają na myśli mężczyzn, którzy są gotowi, chętni i mają ochotę zaangażować się w związek.

Ja zawsze byłem typem małżonka. Dla mnie bycie w związku jest stanem naturalnym. Nie wiedzieć czemu, zawsze lepiej czułem się w towarzystwie kobiet niż mężczyzn, przyjaźniłem się z dziewczynami i spędzanie czasu z tą jedyną, która – tak się złożyło – zakochała się we mnie bez pamięci, było najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić.

Zresztą nadal w to wierzę. I tu sprawy się komplikują, bo nie każdy typ małżonka jest taki sam. Są wśród nich podgrupy, na przykład faceci uważający się za romantyków. Brzmi nieźle, prawda? Czy to o nich najczęściej marzą kobiety? Pewnie tak i muszę przyznać, że sam jestem członkiem tej właśnie podgrupy. Zdarza się też, że ten szczególny typ jest mylony z tak zwanym pochlebcą, i gdyby się nad tym zastanowić, te

trzy rzeczy pozwoliły mi wierzyć, że przy odrobinie wysiłku – gdybym tylko bardziej się postarał – moja żona uwielbiałaby mnie tak samo jak ja ją.

Ale co sprawiło, że byłem, jaki byłem? Czy to wyłącznie kwestia mojej natury? Mojej rodziny? A może jako dzieciak naoglądałem się zbyt wielu filmów romantycznych? Albo może wszystko naraz?

Nie mam pojęcia, ale z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że oglądanie filmów romantycznych było wyłącznie winą Marge. Uwielbiała klasyki, takie jak: *Niezapomniani romans* i *Casablanca* oraz *Uwierz w ducha* i *Dirty Dancing*, a *Pretty Woman* obejrzelśmy chyba ze dwadzieścia razy. To był jej ulubiony film. Nie domyśliłem się natomiast, że Marge i ja tak bardzo lubiliśmy go oglądać, bo w tamtym czasie oboje kochaliśmy się na zabój w Julii Roberts, ale to nieistotne. Ten film prawdopodobnie nigdy się nie zestarzeje. Między bohaterami granymi przez Richarda Gere'a i Julię Roberts była... chemia. Oni naprawdę ze sobą rozmawiali. Wbrew wszystkiemu nauczyli się ufać sobie nawzajem. Zakochali się. No i jak można zapomnieć scenę, kiedy Richard Gere czeka na Julię – zamierza zabrać ją do opery – a ona wychodzi ubrana w suknię, która kompletnie ją odmienia? Oniemiały z wrażenia Richard otwiera w końcu aksamitne pudełko z naszyjnikiem z brylantów, który Julia założy tego wieczoru. Kiedy ona wyciąga rękę, on zatrząskuje pudełko, a zaskoczona Julia wybucha głośnym śmiechem...

W tych kilku scenach było naprawdę wszystko. Mam na myśli romans – zaufanie, wyczekiwanie, radość i muzyka, eleganckie stroje, a nawet biżuteria, wszystko prowadziło do miłości. I wówczas, będąc jeszcze dzieciakiem, zrozumiałem, że to swoisty podręcznik zatytułowany *Jak zaimponować dziewczynie*. Musiałem jedynie zapamiętać, że w pierwszej kolejności dziewczyna musi polubić faceta, a dopiero romantyczne gesty doprowadzą do miłości. I tak oto narodził się kolejny romantyk.

W szóstej klasie doszła do nas nowa dziewczyna. Melissa Anderson przeprowadziła się z Minnesoty, a ze swoimi jasnymi włosami i niebie-



skimi oczami wyglądała jak jej szwedzcy przodkowie. Jestem pewien, że kiedy zobaczyłem ją pierwszego dnia w szkole, otworzyłem usta ze zdumienia; i nie ja jeden. Wszyscy chłopcy szeptali tylko o niej i nie mam wątpliwości, że Melissa była najładniejszą dziewczyną, która kiedykolwiek chodziła do klasy pani Hartman w szkole podstawowej imienia Arthura E. Edmonsa.

Ale różnica między mną a resztą chłopaków polegała na tym, że – w przeciwieństwie do nich – ja dokładnie wiedziałem, co robić. Zamierzałem zabiegać o jej względy i chociaż nie byłem Richardem Gere'em z prywatnym odrzutowcem i brylantową kolia, miałem swój rower i potrafiłem pleść makramowe bransoletki z drewnianymi koralikami. Te jednak musiały poczekać. Najpierw – tak jak Richard i Julia – musieliśmy się polubić. Zacząłem więc szukać pretekstu, żeby podczas lunchu usiąść z Melissą przy jednym stole. Kiedy mówiła, słuchałem i zadawałem pytania, a gdy kilka tygodni później oznajmiła mi, że jestem miły, wiedziałem, że czas zrobić kolejny krok. Napisałem dla niej wiersz – o jej życiu w Minnesocie i o tym, jaka jest śliczna – i pewnego popołudnia podrzuciłem go jej w szkolnym autobusie razem z kwiatkiem. Usiadłem przekonany, że wiem, co się dokładnie wydarzy: Melissa zrozumie, że jestem inny, i dozna olśnienia, które sprawi, że weźmie mnie za rękę, a kiedy wysiądziemy, zapyta, czy odprowadzę ją do domu.

Tyle że tak się nie stało. Zamiast przeczytać wiersz, Melissa przez całą drogę paplała ze swoją przyjaciółką April, a następnego dnia podczas przerwy na lunch usiadła obok Tommy'ego Harmona i nie zamieniła ze mną ani słowa. Nie odezwała się do mnie też następnego dnia ani dwa dni później. Kiedy Marge zobaczyła, jak siedzę naburmuszony w pokoju, powiedziała, że za bardzo się staram i że powinienem być sobą.

- Jestem sobą – odparłem.
- Więc może powinieneś się zmienić – odgryzła się. – Bo zachowujesz się jak desperat.

Sęknę w tym, że nie zastanawiałem się dwa razy. Ale czy Richard Gere zastanawiał się dwa razy? To jasne, że wiedział więcej niż moja siostra,

i jest to kolejny dowód na to, że droga, którą podążałem, i ta, którą podążała mądrość, notorycznie się rozmijały. Choć *Pretty Woman* był filmem, a ja żyłem w realnym świecie, schemat, z którego korzystałem w przypadku Melissy Anderson, podlegał rozmaitym wariacjom, aż w końcu stał się przyzwyczajeniem, od którego nie byłem w stanie się uwolnić. Byłem królem romantycznych gestów – kwiaty, liściki, kartki i takie tam – a w college’u zostałem nawet „sekretnym wielbicielem” dziewczyny, która akurat wpadła mi w oko. Otwierałem drzwi, płaciłem na randkach i słuchałem za każdym razem, gdy chciała się wygadać, nawet jeśli mówiła o tym, jak bardzo kocha swojego byłego. Większość dziewczyn naprawdę mnie lubiła. Poważnie. Byłem dla nich przyjacielem, gościem, którego grupa psiapsiółek zaprasza na wspólne wyjście, ale rzadko zdarzało się, żebym był z tą, która właśnie mi się podobała. Sam nie wiem, ile razy słyszałem: „Jesteś najmiłszym facetem, jakiego znam, i jestem pewna, że spotkasz kogoś wyjątkowego. Mam dwie albo trzy przyjaciółki, z którymi mogę cię umówić...”.

Niełatwo jest być facetem, który jest idealny dla kogoś innego. Z tego powodu często miałem złamane serce i nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego kobiety mówią, że poszukują w mężczyznach romantyzmu, dobroci, zainteresowania i umiejętności słuchania, a gardzą tymi cechami, gdy ktoś im je oferuje.

Mimo to nie mogę powiedzieć, że moje życie uczuciowe było pasmem nieszczęść. W drugiej klasie liceum miałem dziewczynę imieniem Angela; przez prawie cały pierwszy rok w college’u spotykałem się z Victorią. A latem po ukończeniu studiów, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, poznałem kobietę o imieniu Emily.

Emily nadal mieszka w okolicy i widuję ją od czasu do czasu. Była moją pierwszą wielką miłością, a ponieważ romans i nostalgia często chodzą w parze, wciąż o niej myślę. Emily była nieco ekscentryczna; lubiła długie, kwieciste sukienki, sandały i prawie się nie malowała, a jako przedmiot kierunkowy wybrała sztukę z naciskiem na malarstwo. Była też piękna: miała kasztanowe włosy i upstrzone drobinkami złota orze-

chowe oczy, ale było w niej coś jeszcze. Lubiła się śmiać, była uprzejma wobec każdej napotkanej osoby, a do tego inteligentna – zdaniem innych: idealna kobieta dla kogoś takiego jak ja. Moi rodzice ją uwielbiali, Marge ją pokochała, a kiedy byliśmy razem, nawet w ciszy czuliśmy się swobodnie. Nasz związek wydawał się prosty i naturalny; bardziej niż kochankami byliśmy przyjaciółmi. Nie tylko potrafiliśmy rozmawiać o wszystkim, cieszyły ją liściki, które zostawiałem jej pod poduszką, kwiaty, które bez powodu przysyłałem jej do pracy. Emily kochała mnie tak, jak kochała romantyczne gesty, i po kilku latach zdecydowałem się jej oświadczyć. Wpłaciłem nawet zadatek na pierścionek.

I wtedy to spieprzyłem. Nie pytajcie dlaczego. Mógłbym zważyć wszystko na alkohol – piłem z przyjaciółmi w barze – ale z jakiegoś powodu zacząłem rozmowę z niejaką Carly. Była piękna, potrafiła flirtować i niedawno rozstała się ze swoim wieloletnim chłopakiem. Po jednym drinku przyszedł czas na drugi i ostatecznie wylądowaliśmy w łóżku. Rano Carly dała mi jasno do zrozumienia, że to, co się wydarzyło, było przelotną przygodą bez żadnych zobowiązań, i choć pocałowała mnie na do widzenia, nawet nie zostawiła mi swojego numeru telefonu.

W takich sytuacjach istnieje kilka bardzo prostych Męskich Zasad, a Zasada Numer Jeden brzmi: *Nigdy, przenigdy nie mówić prawdy*. A jeśli ukochana coś podejrzewa i pyta wprost, należy natychmiast zastosować Zasadę Numer Dwa: *Zaprzeczać, zaprzeczać, zaprzeczać*.

Wszyscy faceci znają te zasady, ale sęk w tym, że czułem się winny. Potwornie winny. Nawet po miesiącu nie potrafiłem przestać o tym myśleć, tak jak nie umiałem sobie wybaczyć. Zachowanie tego w tajemnicy wydawało się nie do pomyślenia; nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym budować z Emily wspólną przyszłość, wiedząc, że opiera się ona na choćby jednym kłamstwie. Rozmawiałem o tym z Marge, która – jak zwykle – była pomocna na swój siostrzany sposób.

– Trzymaj głębę na kłódkę, kretynie. Zrobiłeś głupstwo i powinienś mieć wyrzuty sumienia. Ale jeśli nie zamierzasz drugi raz popełnić tego samego błędu, nie rań uczuć Emily. To ją zabije.